

AFRYKA

TEN KONTYNENT

ma w sobie niwidzialną
magię, która sprawia,
że się za nim tęskni.
Stojąc kilka lat temu
na Przylądku Dobrej
Nadziei przyrzekliśmy
sobie, że któregoś
dnia dotrzemy tu
własnym autem.
Dotrzymaliśmy słowa.

Tekst i zdjęcia
IZA I PIOTR
WITKOWSCY

*My,
Afryka i Jeep*

PLEMIĘ MURSI, ETIOPIA

Na skraju wioski uzbrojeni
w naładowane strzelby,
bosonodzy strażnicy strzegą
dobytku. Ich największym
skarbem jest bydło.



SAFARI

Smukła żyrafa chwilę przypatruje się swojemu odbiciu w nieruchomej tafli wodopoju, po czym przybiera niezgrabną pozę i łakomie chłepce wodę. Z daleka słysząc zbliżającą się do życiodajnego źródła rodzinę słońi.

Do pokonania mieliśmy ponad 21 tys. kilometrów. Za nami przejazd przez 15 państw, dwa zwrotniki i równik. Pokonaliśmy ten szlak we dwójkę. Przepełniał nas w równym stopniu strach i ekscytacja.



Ale nigdy nie dopadły nas żadne wątpliwości. Wypakowanym po brzegi Jeepem dotarliśmy po 65 dniach na sam kraniec Czarnej Lądu.



W beduińskiej wiosce jesteśmy częstowani herbatą nalewaną z niewielkiego czajniczka oraz tradycyjnie wypiekanym chlebem.

Grudzień. Zimno. Jednak nasze myśli skierowane były w kierunku gorącej Afryki. Wówczas zrodził się plan: samotny przejazd naszym Jeepem Grand Cherokee (rocznik 2004) z Warszawy na Przylądek Dobrej Nadziei. Oszacowaliśmy budżet przedsięwzięcia, potem zabraliśmy się za przygotowanie techniczne auta oraz wytyczyliśmy wstępną trasę. Wówczas też nadaliśmy naszej wyprawie jej nazwę: African Express. Kiedy w kolejnych miesiącach piętrzyły się problemy, nigdy nie dawaliśmy za wygraną. Stawiając czoła wszelkim przeciwnościom losu wreszcie wypakowaliśmy auto po brzegi i 31 maja 2009 spod warszawskiego bloku na Pradze ruszyliśmy przed siebie. Nasz cel to Przylądek Dobrej Nadziei, tam chcemy zakończyć naszą wyprawę.

SZŁO GŁADKO...

W mgnieniu oka pokonaliśmy Europę. Potrzebowaliśmy zaledwie 3 dni, żeby przekroczyć granicę z Azją w Istambule. W Syrii zabawiliśmy kilka dni, po czym przejechaliśmy Jordanię. Na trasie stanął nam Izrael. Jedynym wyjściem aby nie mieć pieczątki z Gwiazdą Dawida w paszporcie, która zamknęłaby nam możliwość dalszej jazdy, było ominięcie tego państwa szerokim łukiem. W tym celu należało wykonać z pozoru prostą operację – załadować Jeepa na prom i popłynąć 70 km wzdłuż egipskiego wybrzeża na południe do niewielkiej, zasypanej piaskiem miejsciny o nazwie Nuweiba, a następnie te same 70 km pokonać autem z powrotem na północ, a stamtąd już kierować się na Kair. W tej części świata nie obowiązują jednak żadne rozkłady, dlatego podróż zajęła nam 24 godziny. A dalej było już tylko

pod górę... Otoczeni przez tłum krzyżących ludzi, stopy paczek, walizek, kartonów i płóciennych worków, o które nieustannie się potykaliśmy, z mozołem wspinaliśmy się na piramidę maksymalnej maksymalizacji egipskiej biurokracji. Natrętne muchy nie opuszczały nas na krok, towarzysząc przemarszowi po kolejnych arcyważnych okienkach, gdzie w oparach dymu papierosowego, któremu nie dawały rady ciężko pracujące wiatraki, sukcesywnie powiększaliśmy kolekcję pieczątek.

PRZEPISY RUCHU DROGOWEGO – A CO TO JEST????

Poruszanie się po Egipcie samochodem dostarcza wielu emocji. Nie obowiązują tu żadne reguły. Klakson w tej części świata bynajmniej nie służy do ostrzegania, a raczej zaznaczania swojej obecności na ulicy. To coś więcej niż



Kolejny raz tracę oddech, kiedy nasz Jeep wtacza się na niewielką platformę, zbudowaną z porzeczonych, metalowych beczek.



Etiopia, plemię Erbare
W Afryce życie toczy się
w zupełnie innym rytmie,
nikt się nie spieszy,
nie patrzy nerwowo
na zegarek

drażek zmiany biegów, więcej niż pedał gazu, egipski kierowca bez klaksonu to jak śpiewak bez opery, jak piłkarz bez boiska, jak policjant bez radaru. Klakson to komunikacja pomiędzy uczestnikami ruchu. Czasem oznacza zdenerwowanie, czasem radość ze spotkania dawno niewidzianego kolegi, czasem podkreśla wielkość, a czasem jest zwykłą zaczepką na drodze, powodem żeby pomachać, żeby zwyczajnie zakomunikować: *mam 30 lat i też jadę przed siebie!!!*

PRÓBA SIŁ

Żeby dostać się z Egiptu do Sudanu czekała nas kolejna przeprawa promowa. Zanim Jeep wjechał na barkę spędziliśmy w porcie długie godziny. Nagle ktoś zaczął na nas pokrzykiwać i wymachiwać rękami, co odczytaliśmy jako sygnał pozwolenia na zajęcie miejsca. Próg między nabrzeżem a barką nie pozwalał na swobodny wjazd ciężkiego samochodu. Rozwiązanie przyszło szybko, bo pod kołami znalazły się płócienné worki o nieznanym nam zawartości. Coraz gorzej dawaliśmy sobie radę z nieopisanym chaosem, tłumem pędzących ludzi, krzykami i skwarem. Po 17-tu godzinach rejsu, popychani przez innych podróżnych, stanęliśmy na sudańskim brzegu. Jeep miał do nas dołączyć nazajutrz. Jednak trwało to dłużej. Dwa kolejne dni spędziliśmy w niezwykle gościnnym domu Magdiego w Wadi Halfa. Pomagał nam w załatwieniu wszelkich formalności. Bielony wapnem dom, ze względu na panujące upały, nie posiadał ani drzwi ani okien. Goszczeni byliśmy jak dawno nie widziana rodzina. Spaliśmy na metalowych łóżkach ustawionych wprost pod rozgwieżdżonym niebem, od którego nie mogliśmy oderwać wzroku. Wreszcie jest sygnał, że Jeep przybił do portu. Trzytonowe auto miało zjechać na betonowe nabrzeże po dwóch

Piotr wciąga w płuca gorące, sudańskie powietrze. Wciska pedał gazu i stacza Jeepa po cieniutkich trapach na brzeg. Z jego czoła płyną ogromne krople potu.



Zjazd z barki był
iście kaskaderskim
wyczynem.

wątlých i pokrzywionych trapach. Nie mieliśmy wyjścia. Piotr wsiadł do auta, nabrał powietrza w płuca, nacisnął pedał gazu i ruszył przed siebie. Na brzegu, nie wyłączając silnika wyskoczył mokry od potu, nie wierząc, że się udało. Mieliśmy wrażenie, że cała nasza trójka uczestniczy w jakimś okrutnym, cyrkowym przedstawieniu, na dodatek za to płacąc...

TEMPERATURA: PODSTĘPNY WRÓG

Pustynia przed nami... Wadi Halfa zegnała nas granatową wstążką asfaltu, wijącą się pośród miodowego piasku. Skromne zabudowania wkrótce zamieniły się w niekończącą się pustynię. Ostрым cięciem utwardzona droga zamieniła się w żużlowy szutr, który systematycznie zasypywał luźny, pustynny piasek. Kiedy temperatura w cieniu osiągnęła krytyczne 55°C, silnik Jeepa zastrajkował. Aby go schłodzić musieliśmy włączyć ogrzewanie. Im więcej kropel potu rosło nasze czoła tym bardziej wskazówka miernika temperatury osiągała normę. Krajobraz zdominowany

był przez jasny, pustynny piasek odbijający promienie słoneczne, który czasem unosił się i pędził w szalonym tańcu tuż przed maską samochodu. Z rzadka mijaliśmy uśpione wioski, nieprzejawiające najmniejszych oznak życia. Tylko pozostawiony na słońcu wielbłąd lub samotny osioł świadczył, że są zamieszkane. Kiedy słońce przybierało coraz bardziej amarantową barwę postanowiliśmy rozjeżdżać się za miejscem na biwak. Ulokowaliśmy się za usypianą ze zbitego piasku górką, która zapewniała nam odrobinę prywatności.

PRZEKROCZYĆ GRANICĘ WŁASNEGO STRACHU

Granice pomiędzy Etiopią i Kenią wyznacza zardzewiały szlaban, za którym bezlitośnie i ostro ucina się poszarpany asfalt. Przed naszymi oczami puszyły się głębokie koleiny i porozrzucane na drodze kamienie. Ze względu na złą sławę trasy, która nas czekała i zgodnie z zaleceniami kenijskich policjantów przyłączyliśmy się do konwoju, który składał się z 10 ciężarówek jadących do Isiolo – miasta oddalonego

A wide-angle photograph of the Victoria Falls in Zambia. The waterfall is a massive sheet of white water cascading over a dark, rocky cliff. A vibrant rainbow is visible in the mist at the base of the falls. The surrounding landscape is lush with green vegetation, and the sky is overcast with grey clouds.

Zambia, Wodospady Wiktorii

Z wysokości 111 m
z ogromnym hukiem
spada w przepaść
do 9 mln litrów wody
na sekundę, tworząc
niesamowite widowisko.
Szerokość wodospadu
wynosi około 1,7 km.

od granicy o niespełna 500 km. Tak zaczęła się nasza dwudniowa droga przez mękę. Po 10 wspólnie przejechanych kilometrach pędzące ciężarówki pozostawiły nas samych. Pod kołami mieliśmy jedynie niewyobrażalne wertepy. Kiedy na chwilę zatrzymaliśmy się w niewielkiej wiosce plemienia Samburu w naszą stronę poleciały kamienie... Do jedyne go na trasie miasta, po pokonaniu około 250 km dotarliśmy już po zmroku, co spotęgowało nasz niepokój o samochód i o nas samych, zwłaszcza że od odłączenia się od konwoju minęliśmy zaledwie cztery samochody. Niestety Marsabit było jedynie niezbyt luksusowym nocnym

przystankiem przed drugą rundą, jaką musieliśmy stoczyć dnia następnego. Niewielki, duszny pokój, w którym spędziliśmy noc, nie zapewnił nam należytego wypoczynku i komfortu. Przed snem czekała nas jeszcze jedna krwawa bitwa z gigantycznymi karaluchami, które najwyraźniej chciały w naszym towarzystwie tę noc spędzić.

PRZYGODA NIEKONTROLOWANA

Przejazd przez Tanzanię pozbawiony był mroźnych krew w żyłach przygód, więc w Zambii postanowiliśmy podnieść nieco poziom adrenaliny we krwi. Zrobiliśmy solidne zapasy jedzenia i wody

Wyprawa Izy i Piotra – nawigator:

Ekipa – Iza (pilot) i Piotr (kierowca) Witkowscy

Trasa – Warszawa – Słowacja – Węgry – Serbia – Bułgaria – Turcja – Syria – Jordania – Egipt – Sudan – Etiopia – Kenia – Tanzania – Zimbabwe – Zambia – Botswana – Namibia – RPA (Kapsztad).

Przejechane kilometry – 21 tys. **Czas przejazdu** – 65 dni

Profilaktyka medyczna – szczepienia na żółtaczkę typu A i B, żółtą febrę, polio, dur brzuszny, meningoki, leki antymalaryczne (Lariam) oraz standardowa apteczka. Na kilka tygodni przed wyjazdem trzeba umówić się w poradni medycyny podróży na wykonanie badań i szczepień www.szczepieniatropik.pl lub www.gis.gov.pl

Wizy – przed wyjazdem – do Syrii (w Warszawie) i Etiopii (w Londynie przez pośrednika konsularnego), na poszczególnych granicach – do Turcji, Jordanii, Egiptu, Kenii, Tanzanii i Zambii (za opłatą). Najtrudniej zdobyć wizę do Sudanu, najlepiej to zrobić w Kairze (koszt 100 USD), ale ze względu na niespokojną sytuację polityczną w tym kraju, istnieje ryzyko całkowitej odmowy wjazdu.

Cła – aby uniknąć płacenia cel na granicach potrzebny jest tzw. Carnet de Passage wystawiany przez PZM po wpłaceniu zwrotnej kaucji w wysokości 20 tys PLN. **Kontakt ze światem** – w większości krajów działają nasze komórki, bez trudu można znaleźć niewyobrażalnie wolny internet, przydaje się telefon satelitarny (do wypożyczenia przed wyjazdem).

Paliwo – najlepiej przed wyjazdem pozbyć się katalizatora i przed wjazdem do Sudanu zatankować do pełna.



W Kenii i Tanzanii zwierzęta cieszą się nieograniczoną wolnością. Niestety coraz częściej giną pod kołami samochodów.



W masajskiej wiosce kobiety witają nas tradycyjnym śpiewem, po czym wracają do codziennych obowiązków.



**Pustynia Namib
- wstające słońce
rozpala piaski
najsuchszej na
świecie pustyni
do czerwoności.**

i zjechaliśmy z asfaltowej drogi. Ruszyliśmy mało uczęszczanym szlakiem w kierunku Parku Narodowego South Luangwa.

Z PRZEWODNIKIEM NA DACHU

Polna droga zaczęła się niepokojąco wspinać i zwęźać. Wkrótce droga zaczęła biec w dół, a woda spływająca tędy w porze deszczowej wyrzeźbiła głębokie koleiny i porozrzuciła ogromne kamienie, a czasem nawet glazy. Jeep z trudem pokonywał ostre uskoki, raz po raz szorując podwoziem o leżące na drodze przeszkody. Odkąd zjechaliśmy z asfaltowej drogi nie spotkaliśmy jeszcze ani jednego samochodu, a jedyną oznaką ludzkiej obecności była tylko odcięta od reszty świata niewielka wioska, gdzie niedawno robiliśmy krótki postój. Tam dowiedzieliśmy się, że poziom rzeki, przepływającej przez park jest na tyle wysoki, że nieoznakowanym objazdem musimy dotrzeć do przeprawy pontonowej i dopiero tam pokonać naturalną przeszkodę. Na bezpłatne miejsce w oponie na dachu zabrał się James, który objął funkcję osobistego przewodnika. Przejechaliśmy kilka wyschniętych strumieni, pokonaliśmy wysokie koleiny oraz zmagaliśmy się z ogromnymi drewnianymi kłodami. Nagle na drogę wyszła rodzina słoni. Dominujący samiec na nasz widok ruszył z impetem w stronę Jeepa, głośno rycząc. Reakcja była natychmiastowa – wsteczny bieg i gaz. Schowaliśmy się za zakretem i dobre piętnaście minut czekaliśmy aż słonie sobie pójda. Najbardziej przerażony był nasz czarny towarzysz.

Na noc zatrzymaliśmy się w prowizorycznym obozie dla myśliwych, gdzie w chacie krytej strzechą i niczym nie chronionej przed wizytą dzikich zwierząt nie mogliśmy zmrużyć oka.

Mając w pamięci wylegujące się zaledwie kilkaset metrów dalej krokodyle cierpnę na widok Piotra wchodzącego do zamulonej rzeki. Zaciskam pięści, po moich policzkach toczą się ogromne łzy...



**Przekraczamy
Zwrotnik
Koziorożca.
Cel już blisko.**

CZY SĄ TU GDZIEŚ KROKODYLE?

Kolejny dzień dostarczył jeszcze większą dawkę emocji. Musieliśmy przedostać się na drugi brzeg rzeki. Około 3 km od obozu czekała na nas prosta konstrukcja, zbudowana z metalowych beczek i kilku desek. Barka przymocowana była zbloczami do stalowej liny przywiązanej po obu stronach rzeki do drewnianych pali i teraz dwóch mężczyzn przeciągało ją ręcznie na drugą stronę. Staliśmy na beczkach, z niepokojem spoglądając na zamuloną wodę.

Po rejestracji w tajemniczej, poźółklej księdze znaleźliśmy się w granicach parku narodowego. Wystarczyła godzina jazdy kiedy stoczyliśmy się ze stromej, piaszczystej góry i natrafiliśmy na kolejną przeszkodę. Była to rwąca rzeczka o trudnym do określenia poziomie. Piotr pomimo moich ostrych sprzeciwów i krzyków postanowił sprawdzić dno, oceniając w ten sposób szansę przejazdu. Pod brą-

zową wodą nie było kompletnie nic widać, a mając w pamięci ogromne krokodyle wylegujące się na brzegu głównej rzeki, zaledwie kilkaset metrów dalej byłam przeżrana samą myślą o tym, że Piotr zanurza w niej choćby mały palec u nogi. Kiedy Piotr zbliżał się do wody trzęsłam się ze strachu jak galareta, kiedy woda sięgnęła połowy uda zaczęłam płakać i histerycznie krzyżeć. To był właśnie środek rzeki i najgłębsze miejsce. Piotr czym prędzej wyskoczył ze zdradliwej wody i z trudem próbował opanować drżenie rąk. Po moich policzkach płynęły łzy...

ZWYCIĘSTWO

Po 65., obfitujących w przygody, stres i strach dni staliśmy na Przylądku Dobrej Nadziei. Dotarliśmy do kresu naszej tegorocznej podróży. Pokonaliśmy wszelkie przeciwności i osiągnęliśmy nasz cel. ■

Więcej na:
www.naszysladem.pl

Kapsztad

Z Góry Stołowej
spoglądamy na
przepięknie położone
miasto na krańcu
Afryki, nie wierząc,
że dotarliśmy tu
własnym samochodem.
Przed nami tylko
bezkres oceanu.
Koniec przygody...